

Dorota Karaś<sup>1</sup>

## Hiszpańscy kibice, polski James Dean i ukraińscy sąsiedzi. Różne opowieści o Gdańsku

Trzydzieści lat włączania do głów, że „Szczecin zawsze polski i słowiański”, a na wierzch ciągle wychodziła dawna historia. Na kamienicę, w której spędziłam dzieciństwo, w latach siedemdziesiątych wciąż mówiło się „poniemiecka”. Gipsowe krasnale tkwiące w ogrodach otaczających przedwojenne wille były świadectwem estetycznego smaku dawnych lokatorów, który na tle PRL-owskiego stylu porażał ekstrawagancją.

W moich licealnych czasach o Szczecinie mówiło się z nutą pogardy, że to miasto bez starówki, czyli bez swojego ducha. Do studiowania wybrałam więc Gdańsk, który miał nie tylko zabytkowe centrum (o tym, że zostało odbudowane po wojnie dowiedziałam się już po przeprowadzce), ale również plaże i morze.

Na studiach przeczytałam *Hanemanna* Chwina i dotarło do mnie, że miasto, do którego się przeprowadziłam, przypomina palimpsest kryjący zapomnianą opowieść z przeszłości. Dopiero z perspektywy Gdańska udało mi się uważniej spojrzeć na miejsce, w którym się urodziłam.

\*

W niewielkim pomieszczeniu na skrzyżowaniu ulic Grobli II i Świętego Ducha w Gdańsku dziś działa sklep z seryjnie produkowanymi pamiątkami. Przed laty była tu galeria, którą prowadził Stefan Figlarowicz, gdański fotograf i kolekcjoner ludzkich historii. Spotykaliśmy się w ciasnym wnętrzu zawalonym negatywami, książkami i powiększalnikami, żeby z czarno-białych zdjęć czytać pomorskie historie, stawiać pytania i szukać zakończeń niedokończonych opowieści. Z tych rozmów powstał kilkunastoodcinkowy cykl artykułów „Na drugi rzut oka”.

<sup>1</sup> Gazeta Wyborcza Trójmiasto; dorota.karas@gdansk.agora.pl.

Pojedyncze fotografie wybrane z archiwum Stefana Figlarowicza i Gdańskiej Galerii Fotografii Muzeum Narodowego były pretekstem, żeby opowiedzieć o polskich studentach uczących się między wojnami na Politechnice Gdańskiej, turystach wędrujących po polskim wybrzeżu, mennonickich przodkach dzisiejszych gdańszczyzan, niemieckim fotografie, który dokumentował kapitulację Westerplatte, robotnikach i artystach odbudowujących miasto po wojnie. Taki był początek mojego dziennikarskiego zainteresowania gdańskimi tożsamościami.

\*

W roku 2012 mistrzostwa Europy w piłce nożnej przemeblowały codzienność Gdańska. Na ulicach centrum, oprócz zagranicznych wycieczek, wędrujących szlakiem wytyczonym przez przewodników, zaroilo się od Hiszpanów, Irlandczyków, Niemców, Chorwatów, Greków i Włochów. Zapanowała atmosfera fiesty: kibice rywalizujących ze sobą drużyn wspólnie śpiewali, tańczyli i świętowali na ulicach do białego rana.

Gdy rok później rozmawiałam o Gdańsku z obcokrajowcami mieszkającymi tutaj na stałe, niemal każdy wskazywał na piłkarskie święto jako na ważną cezurę w historii miasta: moment, w którym Gdańsk zmienił się nie tylko infrastrukturalnie, ale również mentalnie – pozbył się kompleksów, uwierzył, że jest atrakcyjny i ma wiele do zaoferowania.

Z tych rozmów powstała książka *Szafa, czajnik, obwodnica*, w której cudzoziemcy opowiadają o swoim życiu w Gdańsku, codziennych zmaganiach, zaskakujących odkryciach. Dzięki ich relacjom mamy okazję spojrzeć na miasto z innej, często zaskakującej, perspektywy. Dla francuskiego nauczyciela, przyzwyczajonego do blokowisk-slumsów, gdańska Żabianka jest przyjaznym i sympatycznym osiedlem. Amerykański pastor docenia sakralną powagę gdańskich kościołów i porównuje je z komercjalizującymi się domami modlitwy w USA. Piłkarz z Brazylii podkreśla, że w mieście czuje się bezpiecznie jak nigdy dotąd. Białorusinkę zachwycają stoczniowe dźwigi i wrzusza historia „Solidarności”. Są i krytyczne spostrzeżenia. Cudzoziemców denerwują powstające w Gdańsku wielkie muzea, brak przedszkoli i żłobków, nietolerancja i rasizm na ulicach, agresja kierowców i zagarnianie przestrzeni przez deweloperów.

\*

Od piłkarskiego święta minęło zaledwie kilka lat, ale dziś nikogo już nie dziwią tłumy zagranicznych turystów odwiedzających w sezonie Gdańsk. Przywykliśmy również do tego, że coraz częściej na ulicach miasta słyszymy język ukraiński. Przybyszy zza wschodniej granicy spotykamy na co dzień za kierownicą Ubera,

w osiedlowej Żabce, w restauracjach i barach, tramwajach i autobusach. Jako sąsiedzi są jednak dla nas wciąż przezroczysti. Nie interesujemy się, gdzie mieszkają, co robią w wolnym czasie, do jakich szkół posyłają dzieci, w jaki sposób użytkują miasto. W dziennikarskim dyskursie Ukraińcy pojawiają się najczęściej jako bezimienna grupa statystyczna lub incydentalni bohaterowie kryminalnych kronik. Nie słyszymy, co mają do powiedzenia na temat Gdańska i nas, jego mieszkańców. Tę lukę trzeba uzupełnić.

\*

Gdy zaczynałam zbierać materiały do biografii Zbigniewa Cybulskiego, nie przypuszczałam, że historia życia najpopularniejszego polskiego aktora będzie również jednym z wątków opowieści o gdańskiej tożsamości.

Urodzony i wychowywany w ziemiańskim dworku na Pokuciu, dzieciństwo spędzający na inteligentnym warszawskim Żoliborzu, Cybulski czuł się związany z Trójmiastem w niezwykle sposób. Paradoks polegał na tym, że aktor przyjechał tutaj nie z własnego wyboru, lecz kierowany socjalistycznym nakazem pracy na „ziemiach odzyskanych”. Mieszkając na Wybrzeżu, Cybulski przeżył najlepsze lata swojej kariery: stworzył studencki teatr Bim-Bom, który kruszył upolitycznioną rzeczywistość lat pięćdziesiątych zanim nastał polski październik, zagrał Maćka Chełmickiego w *Popiele i diamentach* Wajdy, wprowadził na sceny trójmiejskich teatrów egzystencjalizm, przykuł uwagę widzów w *Kapeluszu pełnym deszczu*, pierwszej amerykańskiej sztuce wystawionej na scenie w Polsce wojnie, zdobył światowy rozgłos i został okrzyknięty „polskim Jamesem Deane”.

U szczytu kariery opuścił to miasto i przyjaciół, żeby wrócić do Warszawy, w której się wychował. Tam jednak nie czekało na niego nic: do domu wprowadzili się nowi lokatorzy, nie było rodziców, dziadków, koledzy z podwórka zginęli w powstaniu. Od wybuchu wojny minęło dopiero dwadzieścia lat, ale w tym czasie przeszła cała epoka. Cybulski pokochał Gdańsk, bo żyło tutaj wielu takich jak on – młodych, przybyłych z różnych miejsc, nie oglądających się wstecz, próbujących znaleźć odrobinę wolności. To jego pokolenie wywołało twórczy ferment w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i stworzyło artystyczną legendę Gdańska.

\*

Jesienią 2018 r., podczas zbierania materiałów do jednego z tekstów, na dawnym cmentarzu krematoryjnym na Szubienicznej Górze trafiłam na grób polskiego chłopca, zmarłego przed II wojną światową. Na nagrobnej płycie znajdowała się przejmująca inskrypcja: „życie jest ciężkim snem, marą jest krwawą”. Udało mi się rozwiązać zagadkę z przeszłości: okazało się, że pochowane w tym miejscu

dziecko to syn doktora Władysława Pniewskiego, badacza i nauczyciela Gimnazjum Polskiego w Gdańsku, który zginął zamordowany w Stutthofie. Potomkowie rodziny, którzy do dziś mieszkają w Gdańsku, nie wiedzieli o tym, że grób ich krewnego przetrwał wojnę, choć w pamięci rodziny zachowało się wspomnienie, że Pniewski ukrywał się w tym miejscu jesienią 1939 r., próbując uniknąć aresztowania. Dzięki wspomnieniom i opowieściom rodziny udało się odtworzyć kolejny fragment historii Wolnego Miasta Gdańska i ludzi, którzy w nim żyli.

Losy mieszkańców Gdańska i Pomorza można opowiadać na setki sposobów. Żadna fikcja nie dorówna historiom, które napisało życie. Obraz miasta tworzy zarówno historia Palestyńczyka, prowadzącego bar na Żabiance, jak i jego sądziwej sąsiadki, której droga z Polesia do Gdańska wiodła przez Archangielsk. Składają się na nią zarówno barwne losy trójmiejskiej bohemy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, jak i pełne dramatycznych momentów biografie robotników ze Stoczni Gdańskiej.

Z takich opowieści uczymy się nie tylko miasta, ale również nas samych.